

218
STEFAN
OTWINOWSKI

Notes KRAKOWSKI

W ostatnich tygodniach uszy nasze wystuchały wielu skarg płynących od strony teatralnych murów. Nie skarżyło się tylko środowisko artystów operowych. A przecież to oni właśnie: śpiewacy, muzycy, technicy sceny pracują w najgorszych warunkach. Bez własnego domu. Cud po prostu, że przedstawienia operowe ukazują się konsekwentnie. I niejedną premierę, z lekką zaledwie przesadą, krytycy nazywają wydarzeniem muzycznym. Dzieje się to w wypożyczonym Teatrze im. Słowackiego, w poniedziałki. Lubię te premiery. Publiczność przyjmuje je solennie, publiczność wyjątkowa; wszyscy stąfannie ubrani, nierzadko w smokingach, panie w długich sukniach — cóż z tego, że rozciętych do bioder! — sporo młodzieży. Młodzież już nie tak starannie ubrana, ale równie muzyczna jak starsi. I jak słuchają! Satysfakcja. Na scenie tym razem „Borys Godunow”. No cóż, scena teatru dramatycznego nie zmieszczałaby wielkiej wersji tego znanego dzieła, dano więc wersję krótszą, kameralną. I tak chóry mając musiały przylegające do sceny łoże. Chóry, powiedzmy od razu, świetnie brzmiące. Tragedia ta, wysnuta z tekstu Puszkina, oparta na dobrze znanych dziejach Rosji — jako dzieło muzyczne jest przede wszystkim szansą dla chórów i solistów męskich. Szansa ta w wykonaniu krakowskim została wykorzystana pomyślnie. Rola tytułową kreował Jerzy Sypek, ujawniając piękną, ciepłą, jak mówią słuszenie fachowcy, brzmienie głosu. W najpiękniejszym poetycznym fragmencie utworu, gdzie i muzyka Musorgskiego osiąga swe szczyty, w scenie przed cerkwią Wasyla Błażennego, partię Jurodwego wykonał przejmująco Kazimierz Myrlak. Postać charakterystyczną, ożywiającą dramat — szczerze mówiąc, „akcyjnie” trochę monotonna — otóż postać włóczęgi i pijaczka Waraama zagrał zabawnie i głosowo bez zarzutu Stanisław Lachowicz. Wielce mi

sympatyczny bas, a i w życiu przywrotnym jakże miły człowiek, Tadeusz Podsiadło występował z powodzeniem aż w dwóch niebagatelnych rolach, dowódca straży przybocznej i starca mnicha Pimena. Bodaż to ta nasza sławna, Krakowska oszczędność!

Teatr Ludowy po Rózewiczu proponuje nam Witkiewicz. Byłem. Widziałem jeszcze jedną inscenizację „W małym dworku”; tym razem trud ten podjęła Irena Babel przy plastycznej pomocy Barbary Stopczanki. Za chwilę o przedstawieniu, a na razie trochę wspomnień i niejako sprostowań. Kiedy czyta się współczesnych krytyków teatralnych, można by odnieść wrażenie, że to dopiero oni Witkacego odkryli, i że twórca ten nie miał przed wojną ani swych sukcesów, ani swych klęsk, bo nie był grywany. Wszystko to jest nieprawda. W Warszawie przez pięć lat, poczynając od roku 1921, miał Witkacy pięć premier. Grywał go Kraków. Widziałem także bardzo interesujące przedstawienie jego sztuki w Poznaniu. Czytałem namiętne z Witkacym polemiki, sam w niejednej rozmowie z Irzykowskim na temat teatru Witkiewicza brałem udział. Owszem, prawda, że dziś w naszej teatralnej krytyce panuje niemal idealnie zgodny chór entuzjazmu dla autora „Kurki wodnej”. Ale czy ta powszechna zgoda krytyki dobrze świadczy o naszym współczesnym życiu intelektualnym?

Wróćmy jednak do Nowej Huty i do nowej wizji dramaturgicznej „W małym dworku”. O inscenizacji tej powiedziałbym, że jest nieskładna, artystycznie nie sugestywna. Dlaczego? Może dlatego, że zlekceważone tu zostało słowo jako forma. Dialogi nie mają rytmu, postaci nie służą żadnemu kontrapunktowi. Aktorzy grali najrozmaitszymi, własnymi sposobami. Kilku z nich było „na dobrej drodze”, ale — powtarzam — na tropie własnym, zbyt solowym. „Całość” się nie ukazała.

O co chodziło autorowi? — pyta-

ją młodzi ludzie, wychodząc z teatru. Ano właśnie, kto nie zna dobrze tekstu sztuki, kto nie przemyślał zagadnienia widmowości i realności świata — temu teatr na to pytanie nie odpowie. Okazuje się, że czas i teoretyczna interpretacja niewiele pomagają w realizacjach scenicznych. Takich niespełnionych teatralnie sztuk Witkacego widziałem wiele, i dawniej, i współcześnie. Nawet na scenach działających z wybitnym zespołem, w warunkach pod każdym względem lepszych, a niżeli te, którymi rozporządza Teatr Ludowy.

Dosyć o teatrze. Nie należy przesądzać, a już przesadne dyskusje w przedmiocie teatru — te dopiero nuda! Zapraszam więc dla odprężenia do sali wystawowej przy ulicy Franciszkańskiej 4. Podaję dokładny adres, ale i tak nietłatwo tam trafić. Sala — jakże piękna! — była chyba kiedyś częścią klasztoru Franciszkanów i oddana do użytku artystycznego została przed bardzo niedawnym czasem. Na starannie odrestaurowanych murach średniowiecznych zawieszono akwarelowe obrazy i obrazki Stanisława Tondosa. Na tych obrazach i obrazkach Kraków dawny, z końca dziewiętnastego wieku. Powie ktoś: malarstwo werystyczne. Ale zaiste, wściekłym by trzeba być przeciwnikiem realizmu, żeby się w tym weryzmie nie dopatrzeć uroczej wprost sztuki. Ja tam się dopatruję! Z takim zadowoleniem, że wystawę tę polecam czytelnikom moim ze szczególnym naciskiem. Zajrzyjcie więc na Franciszkańską, pozostaniecie w gotyckim, spokojnym wnętrzu godzinę — poczujecie odprężenie. Natomiast jeśli udało wam się dostać bilety do „Kijowa” na Festiwal Filmów Krótkometrażowych, to myślę, że na tej imprezie nerwów nie odprężyliscie. Krótkometrażówki to w znacznej mierze pokaz prawdy bezpośredniej, dzisiejszej, apelującej do indywidualnego i społecznego sumienia. Oczywiście nie wszystkie filmy są bolesne. Wczoraj na przykład wśród wielu innych zobaczyłem dziełko Jana Łomnickiego — rzecz, owszem, też prawdziwą, ale i zabawną. Były to w dobrym kolorze podane obrazy śląskiego amatora, Pawła Wróbla. Była też na tle tych wdzięcznych obrazów autentyczna, szczerza, zaangażowana rozmowa o malarstwie Wróbla, a i w pewnym sensie o malarstwie w ogóle. Kiedy piszę te słowa, festiwal dopiero się rozpoczął — wrócimy do niego na naszych łamach.

STEFAN OTWINOWSKI